



Misja Herkulesa

Herkules miał w twarzy coś miłego. W pierwszej chwili pomyślałam, że to wrażenie daje blizna przecinająca mu policzek. Spotkaliśmy się w Żelaznym Domu w centrum Iquitos – mieście wybudowanym w dżungli nad Amazonką. Herkules po europejsku wyciągnął do mnie rękę, uścisnęliśmy sobie dłonie, spojrzałam mu w oczy i pomyślałam, że mogę mu zawierzyć swoje życie na najbliższy miesiąc. Będzie moim przewodnikiem. Zamówiliśmy dwie porcje sałatki z palmowych serc i opowiedziałam mu wstępnie jak ma wyglądać trasa. Ruszał brwiami, stukał palcami po stole, ale mało mówił. Chcę popłynąć kawałek Amazonką, potem w górę rzeki Napo i w ten sposób przekroczyć zieloną granicę między Peru a Ekwadorem.

– Co o tym sądzisz? – zapytałam w końcu.

– Mmmm – odrzekł Herkules. – Mmmmm...

– Wiem, że to trochę niebezpieczne – dorzuciłam wyjaśniająco.

Peru i Ekwador od dawna prowadziły między sobą wojnę o linię, wzdłuż której powinna przebiegać granica. Kilka tygodni przed moim przyjazdem do Iquitos we wszystkich gazetach pisano o peruwiańskim żołnierzu, który poległ w walce z oddziałem ekwadorskim. Pisano też, że Ekwador – czując się niepewnie co do swojej siły i nieprzepuszczalności straży granicznej – kazał zaminować duży pas ziemi po swojej stronie granicy. Na tę wieść Peru zaminowało ziemię po swojej stronie. Wynikało z tego, że gdziekolwiek człowiek się ruszy, zostanie wystrzelony w powietrze – z tą tylko różnicą, że mina będzie ekwadorska albo peruwiańska.

– Podobno podróżowałeś w pobliżu granicy z Ekwadorem – powiedziałam po chwili milczenia, które stawało się coraz bardziej kłopotliwe.

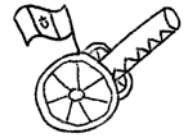
Herkules żywo pokiwał głową i w oczach zapaliły mu się iskierki.

– *Si, si* – odrzekł od razu. – *Si!*

– Znasz dobrze rzekę Napo?

– *Si, si* – wymamrotał, ale jakby mniej pewnie.

Podniosłam rękę, żeby wezwać kelnera i poprosić go o butelkę wody mineralnej, bo od sałatki zrobiło mi się sucho w ustach. Kelner mnie jednak chyba nie zauważył, natomiast Herkules wystrzelił nagle od stołu jak rakieta, po czym lotem ślizgowym opadł na podłogę i zaczął muczeć jak krowa. Przestraszyłam się. Dlaczego Indianin o spokojnej twarzy nagle próbuje fruwać w restauracji i dlaczego po wylądowaniu wydaje mu się, że jest bydlęciem łakowym?...



Wlaziłam pod stół. Popatrzyliśmy sobie prosto w oczy, a potem Herkules pokazał palcem na swoje usta. Zęby miał sklezione czymś białym. Pokazał na swoją stopę, która puchła jak bańka. Następnie pokazał na niebo, z którego zwieszała się trochę zirytowana twarz jegomościa w granatowym ubraniu.



Wytknęłam głowę ponad stół i zapytałam jak gdyby nigdy nic:

– Słucham pana?

– Czy wszystko w porządku? – zapytał takim tonem, jakby był właścicielem lokalu.

Siedziałam pod stołem obok ryczącego Indianina, trzymając w rękach jego spuchniętą stopę.

– Tak – oświadczyłam bez mrugnięcia okiem. – Wszystko w porządku.

– A w takim razie, jeżeli wszystko jest w porządku – powiedział jegomość wachlując się skrajem obrusa i starając się nie dać po sobie poznać co o mnie myśli – to przepraszam.

Była to jedna z takich sytuacji, kiedy człowiek woli skryć się przed ludzkimi oczami, które wścibsko gapią się ze wszystkich stron. Czym prędzej więc wróciłam pod stół i opuściłam za sobą kotarę milczenia – czyli obrus. W mroku błyskały na mnie uśmiechnięte zęby Herkulesa.

– *Que pasa?*¹ – zapytałam najzwyczajniej w świecie.

Herkules zbulgotał, zamruczał i uczynił zębami jakiś przerażający gest, po czym niewyraźnym szeptem odpowiedział:

– Pszszepaszszam. Mam sklezione uszta.

Nagle pod stołem zrobiło się jasno. To moje oczy zrobiły się wielkie jak talerze i zaświeciły ze szczerego zdumienia. Herkules dorzucił wyjaśniająco:

– Od gumy do żżżucia.



Herkules nie był jedynym przewodnikiem w mieście. Codziennie na ulicy wśród huku motorowych riksów zaczepiał mnie jakiś bardziej lub mniej indiański przewodnik ofiarując swoje usługi i namawiając, żebym wybrała się zobaczyć „prawdziwą dżunglę”. Nie tłumaczyłam, że „prawdziwą dżunglę” znam, bo spędziłam w niej kilka lat, ale zadawałam jedno czy dwa kluczowe pytania w rodzaju:

– Jakiego silnika używasz do łodzi?

Albo:

– Jaka jest twoja dniówka przy wyprawie trwającej sześć tygodni?

Zwykle na tym rozmowa się kończyła. Przewodnicy ubrani w nowe dżinsy ze skórzanym paskiem i błyszczącą klamrą, adidasy i kraciastą koszulę z krótkimi rękawami odpadali na samym początku. Najczęściej pracowali w biurach podróży, które zarabiały na organizowaniu standardowych wypadów do dżungli dla spragnionych egzotyki turystów z Europy: trzy do siedmiu dni na rzece,



1) *Que pasa?* (hiszp.) – zależnie od sytuacji może oznaczać: „co się dzieje?”, „co się stało?”, „o co chodzi?”, „co z tobą (z wami itd.)?”. Zadając to pytanie Herkulesowi miałam na myśli: „Co jest grane?”.



łowienie piranii, spanie w hamakach i nocne polowanie na kajmany. I przewodnik oczywiście mówiący po angielsku. Dziękuję bardzo. Ja szukałam kogoś, kto jest samodzielny, ma doświadczenie, jest zdecydowanie indiańskiej krwi i absolutnie nie zna angielskiego. Taki był Herkules.

Miał płaską twarz przeciętą blizną, wąskie skośne oczy, czarne włosy i zawsze pakował się w największe kłopoty. Ze wszystkich ludzi na świecie, które przyszłyby do Żelaznego Domu na obiad i zamówiły sałatkę z palmowych serc, tylko jedna z nich natknęłaby się na swoim talerzu na czyjaś gumę do żucia. Właśnie Herkules. I mało kto w tej sytuacji nie zauważyłby tej gumy, włożył ją sobie do ust i został nią zaklejony na amen. Tylko Herkules. I nikogo innego podczas spokojnego obiadu nie ucięłaby na dokładkę mrówka ognista. Ale Herkulesa tak. Dlatego zaczął ryczeć jak krowa i dlatego odskoczył jak oparzony od stolika. Znając go pewnie na dobitkę poślizgnął się na jedynej w całym mieście skórcie od banana rzuconej tamtego dnia na ziemię i tak wylądował na podłodze. Był największym pechowcem, jakiego zdarzyło mi się dotąd spotkać, ale tamtego dnia w Iquitos jeszcze o tym nie wiedziałam. Wieczorem uzgodniliśmy warunki i wyznaczyliśmy początek wspólnej wyprawy na 16 marca, piątek.

W kwietniu mieliśmy dotrzeć do Ekwadoru.

*Marzyłam tylko o tym,
żeby znów wrócić
do dżungli.*







Lekcja cierpliwości

Było późne amazońskie popołudnie i lał deszcz. Przez cały dzień było tak parno, że powietrze kleiło się do skóry jak gorący kisiel. Potem zrobiło się mroczno, nadciągnęły chmury i zaczęło lać. Stałam w szarym pustym porcie na wielkiej żelaznej platformie puszczonej na wodę. I czekałam na łódź.

Wypłynęłam z Iquitos tego samego ranka, gnana – jak zwykle – chęcią przygody, za którą dotarłam aż do tej mikromiejscowości, gdzie psy z nudów ściagały się z muchami. Tutaj miał mieszkać szaman Indian Yagua, który chętnych leczy naparami własnego pomysłu. Obejrzenie całej osady zajęło mi mniej więcej dziesięć minut. O szamanie nikt nie słyszał. Być może Herkules pomylił nazwy wiosek albo ja pomyliłam łodzie, albo łodzie pomyliły trasy. W każdym razie wylądowałam w miejscu, z którego jak najszybciej pragnęłam się wydostać.

Dochodziła pierwsza po południu. Zgodnie z planem łódź-taksówka miała przyjechać o drugiej. Wkrótce przyszli pozostali pasażerowie: pani w chustce zrobionej z plastikowej torebki, Indianin w dziurawych kaloszach i o nagim torsie, po którym spływały strugi deszczu; i zabłąkany chudy pies. Wszyscy przybyli tu, aby c z e k a ć. To jest jedna z podstawowych umiejętności, jakie należy posiadać w Ameryce Południowej. Czekają na spóźnionych gości i na spóźniających się gospodarzy, czeka się na towar, który miał dojechać przed tygodniem, czeka się na kierowcę autobusu, na list wysłany rok wcześniej, na opóźniony o kilka godzin odlot samolotu. Czekają też na załatwienie każdej nawet najprostszej sprawy, bo złożone dokumenty muszą odleżeć pewien czas i odczekać aż pokryje je dostojny urzędniczy kurz. Nie ma pośpiechu. Czego się nie zrobi dzisiaj, zrobi się jutro. Zawsze przecież jest jakieś „jutro”. Kiedyś nadejdzie to właściwe i wtedy sprawa zostanie załatwiona, towar dostarczony, sklep otwarty, autobus naprawiony, a samolot gotowy do startu. Do tego czasu trzeba czekać. Łódź-taksówka miała przyjechać o drugiej. „O drugiej” dla Latynosa może równie dobrze oznaczać „o pierwszej” lub „o trzeciej”. Dlatego przyszłam do portu znacznie wcześniej, zwinęłam się w pelerynę przeciwdeszczową i rozpoczęłam czekanie.

Deszcz lał równymi strugami. Pani w torebce plastikowej na głowie była mokra od stóp do szyi. Półnagi Indianin błyszczał jak naoliwiony, a krótkie czarne włosy sterczały mu na głowie jak kolce jeża. Pies zwinął się w kłębek pod ławką i udawał, że śpi. Tylko rzeka gnała przed siebie nie zważając na nic, naładowana



świeżą wodą, rozpedzona, szara jak stal i równie zimna. Na brzegu rośło kilka gęstych drzew i pod nimi usiłowaliśmy się schować przed deszczem, ale od czasu do czasu ktoś schodził nad rzekę i wyglądał czy widać już zbliżającą się łódź.

Ale Amazonka była pusta i cicha – jeśli nie liczyć wścieklej ulewy walącej o wodę.

O drugiej zesłiliśmy wszyscy na platformę, tak na wszelki wypadek. Czasami podczas brzydkiej pogody statki płyną przed siebie i nie chce im się zatrzymywać. Minęło wpół do trzeciej. Zaczęłam odczuwać lekki niepokój. W osadzie nie było żadnego hotelu ani gościnnej chaty. Nie zabrałam ze sobą hamaka. Nie miałam do jedzenia nic oprócz bułki w kształcie krokodyla, którą kupiłam rano w porcie. Do najbliższego miasta – Iquitos – jest wprawdzie tylko trzydzieści kilometrów, ale nie można do niego dojechać żadną drogą. Jedyna trasa prowadzi po rzece i motorówka, na którą wszyscy czekaliśmy, powinna ją pokonać w 50 minut.

Trzecia po południu. Z oddali zdaje się dobiegać lekki szum. Popatrzyliśmy na siebie z nadzieją. Po kilku minutach podpłynęła do nas zardzewiała krypa przykryta dachem z blachy i desek. Poruszała się ostrożnie i w żółtym tempie, jakby się bała rozpaść na kawałki. Do Iquitos dotrze za dwie godziny. Indianin się zawahał, ale pani ubrana w torebkę plastikową uspokoiła nas, że za chwilę przyplynie motorówka dwa razy szybsza i wygodniejsza. Pies pod ławką nawet nie otworzył oczu. Pomachaliśmy kapitanowi, żeby nie stawał, tylko płynął sobie spokojnie dalej. Krzyknął coś, co utonęło w deszczu i warkocie silnika, a potem zlało się w jednolitą szarość z deszczem i rzeką.

Czas włókł się jak leniwy wąż po pustyni. Patrzyłam na mokre liście zwisające z drzew, na ciężkie niebo, na rosnące błoto i na błyszczące od wody barierki żelaznej platformy. W końcu nawet chyba zamknęłam oczy i zapadłam w krótką drzemkę, z której wyrwała mnie lodowata kropla deszczu na plecach. Gdzie jestem?! I dlaczego na mój widok ludzie uciekają w przeciwnym kierunku?... Otrzeźwił mnie najcudowniejszy z wszystkich dźwięków: narastający warkot pędzącej motorówki. To dlatego wszyscy rzucili się biegiem do platformy. Ja też! Zaczęliśmy machać rękami, śmiać się do siebie, pani z torebką na głowie powtarzała co chwilę:

– Mówiłam, że zaraz przyjedzie! Mówiłam! Wiedziałam, że ta motorówka zaraz tu będzie!...

Kiedy łódź wyłoniła się zza zakrętu, byliśmy już wszyscy jak starzy przyjaciele – łącznie z mokrym psem, który coraz bardziej intensywnie pachniał². Poczułam, że z serca spada mi gład niepewności. Rąbnął mnie w duży palec od stopy tak, że aż się zgłębłam z bólu.

– Przepraszam! – zaszczebotała pani ubrana w torebkę i schyliła się czym prędzej po siatkę, która wypadła jej z ręki.

2) „Pachniał” to może nie jest najlepsze słowo. Jego mokra sierść cuchnęła na kilometr. Teraz zrozumiałam dlaczego od pewnego czasu krył się pod ławką.



– Nie szkodzi! – odrzekłam beztrąsko. Z palcem czy bez, najważniejsze, że za godzinę będę w suchym i miłym hotelu, zjem ananasa na kolację i pójdę spać.

I wszystkim chyba śpieszyło się nie mniej, bo zaczęli na całe gardło wrzeszczeć z radości. Chwyciłam za plecak, zarzuciłam go sobie na ramię i przygotowałam się do zejścia na pokład, gdy nagle uświadomiłam sobie z lodowatym dreszczem, że warkot silnika już nie narasta, ale jakby... się oddala!... Jak to?!... Spojrzałam na panią w torebce na głowie, która bardziej teraz przypominała wyglądem zimowy kozuch, bo całkiem zbaraniała. Indianin ze stoickim spokojem wylewał wodę z dziurawych kaloszy. Pies szczekał. A ja wrzeszczałam.

Motorówka nawet nie zwolniła. W pełnym pędzie przepłynęła obok nas i pognęła w siną dal.

Zostaliśmy we czwórkę na żelaznej platformie w lodowatym deszczu nad Amazonką. Sami i zupełnie bezradni.

W pierwszej chwili byliśmy wszyscy tak oszołomieni, że zachowaliśmy się jak pluszowe króliki, którym z pleców wyjęto baterie: znieruchomieliśmy z głupimi wyrazami na twarzach. Kiedy nie ma łodzi, nie ma też nas. Może uda nam się wytrzymać tak bez ruchu i bez czucia do następnego dnia i do pierwszej motorówki jutro rano?...

– Ta była ostatnia – wyszeptała pani w torebce na głowie.

Żegnaj hotelu, żegnaj ananasie, żegnaj dachu nad głową. Co teraz?... Stać w porcie z nadzieją, że przestanie padać?... Iść do wioski składającej się z trzech chat pełnych dzieci i dorosłych? Spędzić noc w lesie?...

Na szczęście niedługo potem deszcz przestał padać. Myślę, że to zasługa ławki, która wystosowała do niebios i do psa uprzejmą prośbę o zaprzestanie podlewania. Rozpatrzone ją pozytywnie.

Minęła czwarta po południu. Powietrze było ciężkie i tak pełne wilgoci, że ryby z Amazonki wychodziły na spacer na ląd. A może mi się zdawało... Przetarłam oczy. Znowu coś szumi i huczy, jakby w wiosce ruszyła fabryka złudnych nadziei. Pani w torebce na głowie też coś usłyszała i rzuciła mi czujne spojrzenie. Jej się chyba też zdawało, że to halucynacja. Ale dziwny szum narastał. Teraz nawet dokładnie mogłam go umiejscowić: dobiegał od strony rzeki. Może to ryby mają wesele...

– Łódź! – ryknęła pani i zdarła sobie torebkę z głowy, żeby lepiej słyszeć. – To jest na pewno jakaś łódź!

– Łódź? – powtórzyliśmy jak echo z Indianinem.

– Łódź! – sapnęła pani zwijając usta w trąbkę, jakby to mogło zwiększyć moc jej uszu. – Słyszę ją bardzo dokładnie!

Przyznam, wstąpiła w nas nowa nadzieja. „Nie jest tak źle” – pomyślałam. Wprawdzie nie przyjeżdżają łodzie przewidziane w rozkładzie, ale za to przyjeżdżają inne, o których nikt wcześniej nic nie wiedział. Uroki źle działającego





*Do jedzenia miałam
tylko bułkę w kształcie
krokodyla, którą
kupiłam rano w porcie.*

systemu, a raczej – należałoby powiedzieć – iluzji systemu, który polega na tym co się komu wydaje, że może nastąpić i co ostatecznie nie następuje, ponieważ zwykle zdarza się coś zupełnie nieprzewidzianego. A umiejętność życia tutaj polega na tym, żeby nie spodziewać się niczego, ale z wdzięcznością przyjmować to, co nadchodzi.

Na przykład statek kosmiczny, który właśnie wyłonił się na horyzoncie.

Wygląda jak wielki pająk, który powoli i z namysłem przesuwa się po falach. Jest czarny i ma kilka czarnych grubych nóg, którymi maca wodę pod sobą. Z paszczy bucha mu dym. Wydaje przy tym z siebie dziwne rżące odgłosy, jak gdyby nie potrafił się przystosować do oddychania ziemskim powietrzem. I niewątpliwie z każdą chwilą zbliża się coraz bardziej do brzegu.

Indianin ani drgnął. Pies leżał zwinięty w kłębek ogonem w stronę rzeki. Paniusia natomiast wpadła w desperację, podbiegła na skraj żelaznej platformy, zaczęła machać torebką, którą zerwała sobie z głowy i krzyczeć:

– Uhu, uhu!... Halo!... Tutaj, tutaj!...

Pojazd posłusznie wyrównał kurs i skierował się wprost na nas. Posuwał się powoli i z trudem, dymiąc przy tym jak Smok Wawelski. Zarył w końcu płaskim dziobem w platformę i westchnął, a potem zabeczał i zakwiczął jak prosię.



– *Buenas tardes, buenas tardes!*³ – zawołała paniusia. – *Och, buenas tardes, señores!*

Coś zabuczało pod deskami.

– Już myśleliśmy, że będziemy tu nocować! – mówiła paniusia zbierając swoje torby i pakując się na pokład. – A tu już noc zapada! Motorówka w ogóle nie stanęła! A my wszyscy czekaliśmy od rana! Od rana czekaliśmy wszyscy!

– Beee – odpowiedziała jej owca.

– Ghziiii – zakwiczała świnia.

– Szuuuuu – zaszumiał komin i opluł nas wszystkich czarną sadzą.



Pies został na brzegu. Paniusia zeszła z platformy pierwsza, potem ja, a na końcu Indianin. Chudy szyper był zarośnięty jak drzewo od północnej strony. Machnął ręką w stronę nieba, z którego natychmiast dobiegło uprzejme beczenie. Wspięłam się na górny pokład. Na przeżartej rdzą blasze leżały dwie świnie uwiązane za tylne nogi i stała owca. Wszystko było mokre od deszczu, przerdziała, ubłocone albo tłuste od czarnego smaru; na jedynej ławeczce siedziały skorpiony, paniusia i Indianin znikli w czeluściach kosmicznej łodzi, ale byłam szczęśliwa. Postawiłam plecak obok siebie, wyjęłam bułkę w kształcie krokodyla i ugryzłam go w ogon. Najważniejsze jest to, że płynę!... Że nie czekam na zbawienie w jakimś zapomnianym porcie nad Amazonką, ale posuwam się z każdą sekundą do przodu!... W stronę Iquitos!... W stronę suchego hotelu, ręcznika i słodkich jak miód ananasów!... Usłyszałam szuranie. Po schodkach tak wąskich, że z trudem zmieściłam się tam nawet ja, wspinało się jakieś ogromne ciało. Przecisnęło się przez otwór w podłodze i wyskoczyło do połowy nad pokład. Uśmiechnęłam się i pomachałam mu krokodylem.

– Do Iquitos? – zapytał wielki facet w rozdartej koszulce, spod której wyglądały granatowe tatuaże.

– Tak! – potwierdziłam radośnie. – Do Iquitos!

– Będziemy za dziesięć godzin – powiedział i znikł.



Spojrzałam podejrzliwie na krokodyla. Coś mi się przesłyszało. Może to omam. Może to żart! Przełknęłam kolejny kawałek ogona, a potem pochyliłam się nad dziurą w pokładzie i w półmroku wypatrzyłam brodatego szypra.

– Przepraszam pana – zagadnęłam – czy mógłby mi pan powiedzieć...

Ale mój głos ginął bezpowrotnie w huk silnika i kłapaniu blaszanych kłap.

– Przepraszam! – ryknęłam z góry. – Halo! Czy mógłby mi pan coś powiedzieć!

Szyper siedział w hamaku przytrzymując się jedną stopą podłogi i delikatnie kołysząc. Jak na marynarza przystało, był głęboko zatopiony. We własnych myślach.

– Halo!!... – spróbowałam jeszcze raz. – *Señor!!...*

Żadnej reakcji. Rozejrzałam się, ale między mną a szyprem nie znajdowało się nic i nikt, kto mógłby służyć mi pomocą. Opuściłam więc przez dziurę



³⁾ *Buenas tardes* (hiszp.) – „dzień dobry” mówione po 12 w południe. Można też mówić samo: *Buenas!*, co jest formą mniej oficjalną.

krokodyla i puknęłam szypra w czoło. I natychmiast serdecznie bym tego pożałowała, ale nie zdążyłam, bo w następnej sekundzie wyrznięłam czołem w drewnianą podłogę, usłyszałam śpiew anioła i zemdlałam.



Są na świecie ludzie, którzy prowadzą ryzykowne życie i mogą polegać tylko na sobie – na przykład astronauta albo pogromcy byków. Od ich bystrości, siły i refleksu zależy to czy jutro będą już fruwać w białych kapotach wśród aniołków w raju, czy też dane im będzie zjeść jeszcze jeden ziemski posiłek. Szyper był jednym z nich. To znaczy nie był aniołkiem w białej kapocie, tylko był jednym z tych szybkich gości, którzy nie mają czasu na myślenie, więc najpierw działają.

Kiedy puknęłam szypra krokodylem w czoło, uczynił jakiś błyskawiczny gest, który – kiedy rozmyślałam o nim później – musiał być połączeniem rwania, ciągnięcia i wypychania, bo w jego rezultacie zostałam wyszarpnięta z mojej przytulnej dziury na górnym pokładzie, okręcona w powietrzu i rzucona na deski podłogi. Potem zapadła ciemność.



Kiedy się ocknęłam, dookoła fruwały stada robaczek świętojańskich, błyskając oślepiająco odwłokami. Po krótkiej rozterce przypomniałam sobie, że jestem w dżungli. Płynę łodzią. Po Amazonce. Wracam do Iquitos. Tak! Wszystko stało się znów jasne jak zęby młodzieńca w reklamie gumy do żucia. Stada robaczek znikły. Odzyskałam pamięć i świadomość. Ile czasu będziemy płynąć tą zardzewiałą krypą, na której podróżować dobrowolnie mogą tylko świny uwiązane za nogi i owce?...

– O której godzinie będziemy w Iquitos? – zapytałam grzecznie.

– Jutro – odpowiedział mi burkliwy głos. – Jak dobrze pójdzie.

Z brzmienia tego głosu wywnioskowałam, że mogę zostać tam gdzie jestem – czyli rozplaszczona na podłodze; albo mogę sobie pójść tam, skąd przyszłam – czyli na górny poziom do świń i owiec. Wdrapałam się po schodkach z powrotem na górę i żeby nie zacząć krzyczeć ze złości, wsadziłam sobie do ust krokodyla.

Przez następne dwanaście godzin płynęliśmy przez odcinek, który motorówka pokonuje w pięćdziesiąt minut. Skręcałam się na drewnianej ławce jak piskorz, wiłam się jak zaskroniec i dyszałam z bezsilnej wściekłości jak wąż boa za szybą w zoo. Zapadła noc, zrobiło się ciemno i głucho, silnik barki wył jak potępieniec, a my poruszaliśmy się po rzece z gracją lilii wodnej i jej prędkością⁴. Nigdy wcześniej moja cierpliwość nie została wystawiona na tak wielką próbę. Zdałam na piątkę; jeśli nie liczyć siniaków, jakie sobie ponabijałam wiercąc się z rozpaczą na ławce. Dopłynęliśmy do Iquitos przed świtem.



⁴) Lilia wodna zapuszcza korzeń i na tym korzeniu stoi. Ani jej w głowie podróże po świecie, z wyjątkiem tych, w które daje się popychać wiatrowi.





Regal Restaurant

SALE





Czas przygotowań

Następnego dnia spałam długo. Obudziło mnie walenie do drzwi. Ktoś czeka na dole. Minęło dobrych pięć minut zanim dotarłam do łazienki. Mięśnie wysiedziane poprzedniej nocy na twardych deskach zwinęły się w ciasne kłębki. Najchętniej oderwałyby się od kości i potoczyły swobodnie w dal. Nic z tego – pomyślałam masując prawą nogę, podczas gdy lewa uparcie chowała się z powrotem pod prześcieradło.

– Wstawać! Ruszać się! Zwiedzać! Przygotowywać się do wyprawy!

Lustro w łazience podpowiedziało mi litościwie, że najlepszym rozwiązaniem byłoby zostać dzisiaj w hotelu i nie wytykać spuchniętego nosa na zewnątrz, ale nie było to rozwiązanie do przyjęcia. Po pierwsze dlatego, że ktoś czekał na mnie na dole, a po drugie dlatego, że byłam głodna. Moje kiszki grały smutno na trąbach. Musiałam dać im jakieś zajęcie.

W recepcji znalazłam kartkę: „Spotkaj się ze mną w Żelaznym Domu w południe. H.”. Oddałam klucz i natychmiast wyruszyłam na spotkanie Herkulesa.

Skrzyżowanie przy Żelaznym Domu zawsze wygląda jak niekończące się wyścigi albo arena do walki byków. To jest najbardziej klasyczne skrzyżowanie w kształcie krzyża, z pasami dla pieszych i sygnalizacją świetlną. Jest to też centralne miejsce miasta, przez które przejeżdżają wszystkie pojazdy. Czerwone światło jest jak zapora dla wodospadu. Kiedy się zapala, za niewidzialną tamą zaczynają się gromadzić powarkujące niecierpliwie motorowery, huczące autobusy i samochody, bezgłośnie rowery oraz – ponad wszystko – charcząco-zgrzytająco-wyjące motorowe riksze.

Opisałam je dokładnie w relacji z pierwszej części tej wyprawy, czyli w książce „Blondynka śpiewa w Ukajali”, teraz tylko przypomnę, że jest to najbardziej diabelski wynalazek, jaki kiedykolwiek sprowadzono do Amazonii: trójśladowy potwór składający się z przedniej połowy motoroweru (od kierownicy do siodełka) oraz przyspawanego do niej kawałka wózka z ławeczką. Motoriksza z przodu ma kierownicę i dwa lusterka, na siodełku siada kierowca i na ławeczce przewozi pasażerów. Obsługuje go silniczek typu „komar”, strzelając sinymi kłębami spalin, prychając i rycząc na najwyższych obrotach, jakby wołał o pomoc. W peruwiańskich miastach w rodzaju Iquitos czy Pucallpy nad Amazonką są ich tysiące. Od świtu do głębokiej nocy robią taki hałas



i jazgot, że na ulicy ani w parkach, ani w ogródkach restauracji nie można rozmawiać – bo co drugie słowo zostaje zagłuszone lub porwane przez przejeżdżające motorikse.



Herkules czekał w środku. Rozwinął postrzępioną kartkę – która wyglądała tak, jakby miała dwadzieścia lat i służyła mu przy okazji każdej wyprawy do dżungli – i odczytał:

– Latarka?

– Mam.

– Hamak?

– Mam. Moskitierę też. Środki na owady mam. Długie spodnie i buty. Koszulę z długimi rękawami. Krem na słońce. Kapelusz. Skarpetki. Płaszcz przeciwdeszczowy. Ochroniacz na plecak. Trochę lekarstw.

Zastanowiłam się. Co jeszcze...

– Będziemy potrzebować plastikowej płachty, żeby zrobić z niej dach na noc – dodałam po chwili, starając się zagłuszyć buntownicze odgłosy dobiegające z mojego żołądka. – Czółno – osiem metrów, z dachem, nie będzie dużo bagażu, nie zabieramy jedzenia...



Na to ostatnie słowo coś we mnie wrzasnęło. Herkules, który do tej pory siedział z kamienną twarzą, przesuwał palcem w dół swojej wysłużonej kartki, teraz spojrzał na mnie ze świeżym zainteresowaniem. Ja na niego też. Po policzku wędrowała mu mrówka.

– Słucham, co podać? – wtrąciła się nagle dziewczyna w czarnej bluzce pełniąca tu rolę jedynej kelnerki i snująca się między stolikami niechętnie i powolnie jak duch.

– Dla mnie nic – powiedział od razu Herkules.

Nie zdziwiłam się; ja też na jego miejscu wolałabym nie ryzykować. Na wszelki wypadek zrezygnowałam z palmowych serc i poprosiłam o sałatkę owocową, prosząc, żeby była bez cukru, bez syropu, bez jogurtu, bez żadnych dodatków, po prostu – naturalna.

– Tylko same owoce – podkreśliłam jeszcze raz na koniec.

– *Natural* – potaknęła kelnerka. – *Pura fruta*⁵.

– No właśnie, *pura fruta* – mówię z ulgą, że tak łatwo się zrozumieliśmy.



Dziesięć minut później kelnerka wraca wolnym krokiem i stawia przede mną talerz z plasterkami banana, kawałkami papai, mango, arbuza, melona, ananasa, pomarańczy, kilkoma winogronami i ćwiartką jabłka na środku. Wszystko tonie w różowym syropie.

– Co to jest? – pytam uprzejmie.

– W kuchni dodali – mówi panienska. – Żeby było trochę smaku.

5) *Pura fruta* (hiszp. dosł. „czyste owoce”) – same owoce, tylko owoce.





Uzgodniliśmy listę zakupów i ekwipunku. Podstawa to dobre czółno – musi mieć osiem metrów i dach.



– Ale miało być naturalne, *pura fruta*, tylko *fruta*, czysta *fruta*!...

– No tak – zgadza się niechętnie panienka i wynosi sałatkę do kuchni.

Jakie te białasy są okropne. Przychodzi taka do restauracji i zamawia danie zupełnie bez smaku. Wyobrażam sobie, że to tak samo, jakby w Polsce do knajpy wszedł Szwed albo Amerykanin i poprosił o danie złożone wyłącznie z kilku listków sałaty. Kelnerka też pewnie byłaby zaskoczona.

Herkules przez cały czas milczał, usiłując wydlubać sobie z oka mrówkę, która po odbyciu suchej podróży na przełaj przez jego brodę i policzek, zapragnęła zanurzyć się w wilgotnym jeziorku, które tutaj bardziej niż gdziekolwiek mogłoby się nazywać „oczko wodne”. Z oczka Herkulesa wartkim strumieniem płynęły łzy. Mrówki w Amazonii są lepiej przystosowane do odnajdywania się w trudnych warunkach naturalnych niż ludzie. Kiedy oko Herkulesa okazało się nie dość wilgotne, wsadziła mu nóżki do torebki łzowej i urządziła sobie prysznic.

Patrzyłam ze współczuciem jak mruga i potrząsa głową, gdy nagle powróciła kelnerka i postawiła przede mną talerz z sałatką. Rzeczywiście nie było w niej ani grama syropu, jogurtu ani cukru. I rzeczywiście była to sałatka *pura fruta* – bo dziewczyna każdy kawałek banana, mango, arbuza i ananasa umyła wodą pod kranem!

Spojrzałam do góry, ale kelnerki już nie było. Żeglowała wolno między stolicami, ciężkim krokiem, wyraźnie znudzona. Kiedy podawała komuś jedzenie,

zwykle odwracała głowę i patrzyła gdzieś w przestrzeń ponad restauracją i ponad talerzami, tak jak domowa gęś, kiedy słyszy na niebie przelatujące ptaki i myśli, że też mogłaby z nimi pofrunąć, ale chyba jej się nie chce.

Tego samego popołudnia spotkaliśmy się z Herkulesem jeszcze raz. Miał oko zaklejone plastrem, bo mrówka po wykąpaniu się w jego łzach uznała, że miejsce nadaje się także na toaletę i zostawiła mu pod powieką coś, co z całą pewnością nie powinno się tam znaleźć i co wymagało interwencji lekarza. Uzgodniliśmy listę zakupów i ekwipunku. Wydawał się rozczarowany, że mam wszystko. Na końcu jednak triumfalnie mrugnął zdrowym okiem i zawołał:

– Kalosze! Koniecznie musisz mieć ze sobą kalosze!

– Oczywiście – zgodziłam się natychmiast. – Koniecznie muszę mieć kalosze. A gdzie je najlepiej kupić?

– Jak to gdzie?... – zapytał Herkules takim tonem, jakbym mieszkała w Iquitos od dwudziestu lat i zapomniała gdzie można kupić bułki. – U Szalonego Micka!

I tak właśnie za sprawą kaloszy, zawarłam znajomość z Szalonym Mickiem.



MAD MICKS TRADING POST

1848

PREPARE YOUR
VISA
Electron

Raspa
Raspalo
Babelo

DANAFRIA





Szalony Mick

Szalony Mick jest Anglikiem i jako jeden z wielu Europejczyków odkrył dziwną właściwość miasta Iquitos: kto przyjedzie tutaj raz, będzie marzył, by znów tu wrócić.

Kilka lat temu Mick przeszedł w Anglii na emeryturę, sprzedał dom, rozstał się z żoną i postanowił na stałe zamieszkać w Iquitos. To był dobry wybór. Mick jest panem w średnim wieku. Tutejsze młode dziewczyny idą za takimi starszymi od siebie panami jak w dym.

Mick otworzył mały sklepik dla turystów w bocznej ścianie Żelaznego Domu. Pieniędzy na wynajęcie wystarczyło mu na same drzwi. Za wejściem ciągnie się ciasny, krótki korytarzyk, w którym od biedy mieści się półka z towarami i jedna osoba. Można tam kupić dwa wytarte egzemplarze książki o *ayahuasce*⁶ (muszą tam leżeć już od kilku dobrych lat, ale Mick uparcie nie chce obniżyć ceny), koszulki bawełniane, czapkę bejsbolówkę i parę innych drobiazgów, tak naprawdę niepotrzebnych nikomu. Ale nie chodzi przecież o to, żeby coś sprzedać. Mick urządził sobie własne miejsce na świecie, nad którym zawiesił szyld: „Mad Mick’s Trading Post”⁷. Stawia stołek na chodniku pod szyldem (bo w środku nie ma miejsca), siada na nim z puszką piwa w ręce i siedzi. I patrzy. Bo przestał się dokądkolwiek śpieszyć.



Czasem myślę, że na tym właśnie polega p r a d z i w e życie: przestać się śpieszyć. Nie musieć nigdzie być ani iść. Nie mieć nic do załatwienia. Niczym się nie stresować. Nie musieć spełniać niczyich oczekiwań.

Oddalić się od ludzi, od pracy, obowiązków. Zaznać całkowitego spokoju. Żyć w zgodzie ze sobą. Patrzyć w niebo i cieszyć się wolnością.

Wyjeżdżam do Amazonii. Mieszkam wśród Indian. Ale po jakimś czasie zaczynam czuć jakąś dziwną ochotę, coś mnie pcha, coś mnie ciągnie, niecierpliwie rozglądam się dookoła. Nie muszę się nigdzie śpieszyć, ale nagle chcę się śpieszyć! I odkrywam, że nieskrępowana niczym wolność jest wolnością tylko wtedy, kiedy można ją przeciwstawić czemuś wprost przeciwnemu!

Dlatego u r l o p jest urlopem, że przed nim i po nim następuje praca. A w a k a c j e są wakacjami tylko dlatego, że przed nimi i po nich trwa szkoła.



6) *Ayahuasca* – magiczny napój z lian, używany przez szamanów kilku plemion Indian w Amazonii.

7) „Mad Mick’s Trading Post” (ang.) – sklepik Szalonego Micka.

Gdyby nie było szkoły, wakacje okazałyby się wielomiesięcznym zagubieniem. Czas by zwolnił. Ponieważ nie trzeba by robić n i c z e g o, nic nie byłoby nigdy zrobione. Nawet nie chciałoby się nam wyjeżdżać na wakacje, bo przecież skoro wakacje trwają wiecznie, to zawsze w podróż można wyjechać następnego dnia, prawda?



Ten, kto nie urodził się wolnym człowiekiem, nie będzie umiał żyć wolnością. My, biali ludzie motorowej cywilizacji, jesteśmy ludźmi pracy i obowiązków. Nasze marzenia o wolności wynikają z nadmiaru pracy i ciężaru obowiązków, ale ograniczają się do krótkiego odpoczynku, po którym ciągnie nas z powrotem. Rzadko który biały potrafi przestać być niewolnikiem systemu, w którym się urodził i wychował. Nie umiemy naprawdę cieszyć się wolnością bez ograniczeń.

Potrafią to tylko Indianie i buddyjscy mnisi.

Nauczył się tego Szalony Mick.

W sklepiku Szalonego Micka kupiłam kalosze rozmiaru 38. Mocne kalosze to jedna z najważniejszych rzeczy, jakie trzeba mieć ze sobą w dżungli. To prawda, że jest w nich gorąco i niewygodnie, czasem boleśnie obcierają nogi, ale jest to jedyny i najbardziej skuteczny sposób przeciw ukąszeniom jadowitego węża.

Niektóre węże mają wielkość i grubość ołówka. Leżą na ścieżce wygrzewając się w słońcu albo robią sobie przystanek pod liśćmi. Gdy czują niebezpieczeństwo, ruszają do ataku. Najczęściej gryzą w okolicach kostki. Czasem trochę wyżej, w łydkę. Często człowiek po ugryzieniu ma przed sobą kilka godzin życia. W gęstwinie puszczy, daleko od lekarza i indiańskiego szamana, szanse na przeżycie są niewielkie.

Zapakowałam kalosze obok mydła do prania, notatników i zapasu długopisów. Byłam gotowa do drogi.





